REJESTR DOTYCZY:

JACEWICZ Alfons

s/c ..... i .....

z d. .....

*10 marca 1900 w .....

kraj: ....

† 22 stycz. 1979 w Londynie

kraj: UK.

pochowany: w Henley

nr grobu: .....

Nr rejestracyjny

41 / 79

Nota zamieszczona:
w tomie .....
czesci .....

Indeks

Pedagog

Pisarz

Copyright: 1970
B.O. Jeżewski

Źródła i bibliografia c.d.

znak rozpoznawczy

Uwagi:

Nota:

Przypisy:

- rodzina w Polsce

Źródła i bibliografia:

znak rozpoznawczy

* Dziennik Polski 29.1.79 - nekrolog — 18/29.I.79/
* Dziennik Polski 31.1.79 - nekrolog — 18/31.I.79/
+ Wiadomosci nr 1721 z 25.3.1979 "Alfons Jacewicz" — 50/ nr 1721/

(41)

Ś. † P.

ALFONS JACEWICZ

gorący patriota, obrońca Ojczyzny, pedagog, pisarz, nauczyciel dzieci polskich w Santa Rosa, kustosz muzeum w Fawley Court, ur. 10 marca 1900, zmarł 22 stycznia 1979 w Londynie.

Msza św. odbędzie się w piątek 2 lutego o godz. 11 w kościele św. Anny w Fawley Court, po czym wyprowadzenie zwłok na cmentarz w Henley.

Zawiadamiają z wielkim żalem

KSIĘŻA I BRACIA MARIANIE
SIOSTRY IMIENIA JEZUS
RODZINA W POLSCE
PRZYJACIELE Z FAWLEY COURT

2108

31/1

Ś. † P.

ALFONS JACEWICZ

ŻOŁNIERZ — PISARZ — WYCHOWAWCA

walczył w obronie Polski w obu wojnach światowych. Po ucieczce z internowania w Szwajcarii — osadzony w obozie hiszpańskim Miranda. Uwolniony po czynnym proteście głodowym, odkomenderowany do pracy wychowawczej i nauczycielskiej w polskim sierocińcu w Meksyku — a potem w polskiej szkole w Fawley Court. Zyskał głęboką wdzięczność wychowanków — uznanie i miłość wszystkich co go znali. Urodzony w 1900, zmarł 22 stycznia 1979 w Londynie. Pogrzeb 2 lutego w Fawley Court.

B. R. MARKOWSCY

2109

JÓZEF MACKIEWICZ

Alfons Jacewicz

W styczniu 1979 zmarł w Londynie Alfons Jacewicz. W czarnych ramkach nekrologów, które ukazały się w prasie emigracyjnej wspomniano, że urodził się w roku 1900, że był żołnierzem w obronie Polski, pisarzem, nauczycielem. W losie tułaczym, przez Hiszpanię przedostał się do Meksyku, gdzie rozwinął swoje talenty pedagogiczne w szkołach dla Polaków. Los go następnie przerzucił do Londynu. Pracował ostatnio w instytucji mariańskiej w Fawley Court. Pisał przewodnik, monografię o tej starodawnej siedzibie. Był nade wszystko Polakiem i żarliwym katolikiem. Tyle co się zmieściło w ciasnych, czarnych ramkach, a co się zazwyczaj przerzuca jednym okiem.

Już pierwszy z tych niespodziewanie przeczytanych w londyńskiej gazecie nekrologów, uderzył we mnie jak kamień. Ciąży na mojej pamięci wagą wyrzutu. Będę szczerze wdzięczny redakcji „Wiadomości", jeżeli choć tą próbą ekskuzy, zechce mi pomóc w złagodzeniu ciężaru.

Alfons Jacewicz był moim przyjacielem. Dopomógł mi w napisaniu dwóch moich ostatnich książek. Walnie przyczynił się do wydania jednej z nich po hiszpańsku w Meksyku, p.t.: „A La Sombra De La Cruz", z przedmową słynnego w Ameryce południowej pisarza katolickiego, x. presbitera Dr. Joaquin Sáenz y Arriaga. (Ekskomunikowanego przez „progresywnego" prymasa Meksyku, kardynała Miguel Dario Miranda, za dzieło: „La Nueva Iglesia Montiniana").

Kiedyś byłem w ciągłym kontakcie z Jacewiczem. Przyjeżdżał do mnie do Monachium. Spotykaliśmy się w Londynie, nie raz. On poza tym dużo podróżował. Zwiedzał też egzotyczne kraje, których nie dano mi było oglądać. Jego książki nie zrobiły kariery, choć nie były złe. Były dobre i ciekawe. Pisałem o tym kiedyś. Ale były proste w słowach i spostrzeżeniach; w jasności stylu, który nie musi odgrywać głównej roli w przedstawieniu prawdy. Jeżeli książka ma być cząstką pewnej prawdy, a nie wypisami stylistycznych egzercycji *„pour épater les bourgeois"*, którzy pragną przejść do klasy „moderny". Słowem śmiesznie, by książki Jacewicza miały wartość w dobie, gdy w literaturze ceni się najwyżej Gombrowicza, w muzyce Pendereckiego, w malarstwie... No, odsyłam czytelnika do Stanisława Balińskiego, który w swoich doskonałych „Rozmaitościach" o „Sztuce i Życiu", lepiej potrafi omówić dzisiejszy stan rzeczy.

Jacewicz był mi bliski jeszcze ze szczegółu, o którym nie mówi się głośno, a tym bardziej nie wspomina w nekrologach wysławiających pośmiertnie zasługi. Oto znalazłszy się w r. 1917 na Krymie, przystąpił on do Białej Armii rosyjskiej, i rąbał z konia bolszewików, gdy my jeszcze tego nie czyniliśmy. A ja osobiście, jestem po stronie każdej kontrrewolucji. Więc i w tym wypadku po stronie Jacewicza. Nieraz wznosiłem na jego cześć toast kieliszkiem wódki: „Bij komunistów, ratuj wolną myśl!"...

Mam w oczach jego postać wysoką, jasną jakoś, uśmiechniętą, wyprostowaną, prostolinijnie troszkę staroświecką. Naturalnie nie mogliśmy się we wszystkim zgadzać, bo takich dwóch ludzi chyba nie ma. Zwłaszcza więc z jego niechęcią do „masonerii", z leciutką przymieszką antysemityzmu. Bo osobiście we wpływy tzw. „masonów" nie wierzyłem nigdy, i nie wierzę. Antysemityzm zaś, choćby domowej proweniencji, jest mi tak samo niezrozumiały jak każde doszukiwanie ujemnych cech organicznych w obcych nacjach. Jak antygermanizm, antyrosyjskość, czy antyarabizm, antytureckość, czy antyportugalizm... czy etcetera i etcetera. Gdyż nacjonalizm tej próby hamuje wiedzę o człowieku w ogóle i jego cechach przyrodzonych. A co najmniej tę wiedzę znacznie ogranicza, lub zgoła infantylizuje. Nie były to jednak tematy, które stały w poprzek naszych kontaktów.

Ale czas płynie. Później przyszły przerwy coraz częstsze, coraz dłuższe. Korespondencja coraz rzadsza. Choroby, najbliższe kłopoty i własne sprawy... Ale zdarzyło się, że ostatni list miałem od niego z listopada 1978. Pisał: „...dostałem ciężkiego zawału serca. Byłem trzy razy w szpitalu i gdyby nie dr Thompson i nasza siostra przełożona, Jadwiga Zbilska, spoczywałbym na cmentarzu w Henley-on-Thames. Od połowy sierpnia zamieszkałem w Londynie w domu dla starców: London (Ealing)... Mam

cewicz. — Ach, jak mogłem mu nie odpisać?! Zaraz, wtedy. Dwa miesiące temu!?

Nie znam bardziej wzruszającego, bo najbardziej ludzkiego wytłumaczenia takiego zbiegu okoliczności, jak to które opisał Marian Hemar w książce „Awantury w rodzinie". Na str. 149 Hemar pisze:

„Czemu tego nie zrobiłem? Nie wiem. Zapewne z przyczyny, którą ktoś nazwał lenistwem serca. Z powodu tej opieszałości, która wszystko, co wymaga jakiegoś sentymentalnego wysiłku odkłada do jutra, do bliskiej, niebezpiecznej 'maniany'. — Jutro napiszę list, na który ktoś czeka z rosnącym żalem. Jutro pójdę z wizytą, jutro umówię się na spotkanie, jutro zdobędę się na przeprosiny, na słowa pociechy, lub skruchy, jutro się pogodzę, jutro naprawię zaległe grzechy i błędy. Byle nie dziś. Dziś jestem zmęczony, zajęty, chcę odpocząć, poczytać dziennik, zagrać w szachy... (U Hemara: 'w brydża', w którego nie gram). Nagle przychodzi dzień, po którym jutra już nie będzie. Karą dla tych, którzy pozostają przy życiu, jest głęboki żal, nie do naprawienia, i wyrzuty sumienia, które pieką gorzkim wstydem"...

Tak jest, jak pisał Hemar. Dedykował mi tę piękną swoją książkę, i już sam nie żyje. Śmierć. Oczywiście wszyscy o niej wiemy na pamięć. Ale nikt nie potrafi jej sobie wyobrazić.

— A tu, spójrz — pokazuję komuś ten pogodny list Jacewicza z końca listopada, i nekrolog z najbliższego stycznia: — Niecałe dwa miesiące i... wieczność! Czy może być w tym zestawieniu większa dysproporcja w czasie,

dził się w roku 1900, że był żołnierzem w obronie Polski, pisarzem, nauczycielem. W losie tułaczym, przez Hiszpanię przedostał się do Meksyku, gdzie rozwinął swoje talenty pedagogiczne w szkołach dla Polaków. Los go następnie przerzucił do Londynu. Pracował ostatnio w instytucji mariańskiej w Fawley Court. Pisał przewodnik, monografię o tej starodawnej siedzibie. Był nade wszystko Polakiem i żarliwym katolikiem. Tyle co się zmieściło w ciasnych, czarnych ramkach, a co się zazwyczaj przerzuca jednym okiem.

Już pierwszy z tych niespodziewanie przeczytanych w londyńskiej gazecie nekrologów, uderzył we mnie jak kamień. Ciąży na mojej pamięci wagą wyrzutu. Będę szczerze wdzięczny redakcji „Wiadomości", jeżeli choć tą próbą ekskuzy, zechce mi pomóc w złagodzeniu ciężaru.

Alfons Jacewicz był moim przyjacielem. Dopomógł mi w napisaniu dwóch moich ostatnich książek. Walnie przyczynił się do wydania jednej z nich po hiszpańsku w Meksyku, p.t.: „A La Sombra De La Cruz", z przedmową słynnego w Ameryce południowej pisarza katolickiego, x. presbitera Dr. Joaquin Sáenz y Arriaga. (Ekskomunikowanego przez „progresywnego" prymasa Meksyku, kardynała Mi-

dżał do mnie do Monachium. Spotykaliśmy się w Londynie, nie raz. On poza tym dużo podróżował. Zwiedzał też egzotyczne kraje, których nie dano mi było oglądać. Jego książki nie zrobiły kariery, choć nie były złe. Były dobre i ciekawe. Pisałem o tym kiedyś. Ale były proste w słowach i spostrzeżeniach; w jasności stylu, który nie musi odgrywać głównej roli w przedstawieniu prawdy. Jeżeli książka ma być cząstką pewnej prawdy, a nie wypisami stylistycznych egzercycji *„pour épater les bourgeois"*, którzy pragną przejść do klasy „moderny!". Słowem śmiesznie, by książki Jacewicza miały wartość w dobie, gdy w literaturze ceni się najwyżej Gombrowicza, w muzyce Pendereckiego, w malarstwie... No, odsyłam czytelnika do Stanisława Balińskiego, który w swoich doskonałych „Rozmaitościach" o „Sztuce i Życiu", lepiej potrafi omówić dzisiejszy stan rzeczy.

Jacewicz był mi bliski jeszcze ze szczegółu, o którym nie mówi się głośno, a tym bardziej nie wspomina w nekrologach wysławiających pośmiertnie zasługi. Oto znalazłszy się w r. 1917 na Krymie, przystąpił on do Białej Armii rosyjskiej, i rąbał z konia bolszewików, gdy my jeszcze tego nie czyniliśmy. A ja osobiście, jestem po stronie każdej kontr-

soką, jasną jakoś, uśmiechniętą, wyprostowaną, prostolinijnie troszkę staroświecką. Naturalnie nie mogliśmy się we wszystkim zgadzać, bo takich dwóch ludzi chyba nie ma. Zwłaszcza więc z jego niechęcią do „masonerii", z leciutką przymieszką antysemityzmu. Bo osobiście we wpływy tzw. „masonów" nie wierzyłem nigdy, i nie wierzę. Antysemityzm zaś, choćby domowej proweniencji, jest mi tak samo niezrozumiały jak każde doszukiwanie ujemnych cech organicznych w obcych nacjach. Jak antygermanizm, antyrosyjskość, czy antyarabizm, antytureckość, czy antyportugalizm... czy etcetera i etcetera. Gdyż nacjonalizm tej próby hamuje wiedzę o człowieku w ogóle i jego cechach przyrodzonych. A co najmniej tę wiedzę znacznie ogranicza, lub zgoła infantylizuje. Nie były to jednak tematy, które stały w poprzek naszych kontaktów.

Ale czas płynie. Później przyszły przerwy coraz częstsze, coraz dłuższe. Korespondencja coraz rzadsza. Choroby, najbliższe kłopoty i własne sprawy... Ale zdarzyło się, że ostatni list miałem od niego z listopada 1978. Pisał: „...dostałem ciężkiego zawału serca. Byłem trzy razy w szpitalu i gdyby nie dr Thompson i nasza siostra przełożona, Jadwiga Zbilska, spoczywałbym na cmentarzu w Henley-on-Thames. Od połowy sierpnia zamieszkałem w Londynie w domu dla starców: London (Ealing)... Mam mały pokoik, doskonały wikt i dobrą opiekę. Sam dużo czytam... Przynajmniej raz w tygodniu gram w bridge'a i dość często w szachy... Proszę do mnie częściej pisać... W oczekiwaniu dalszych tak miłych dla mnie listów, ściskam..."

A ja mu nie odpisałem. Wymieniliśmy tylko kartki świąteczne. I zaraz po tym, w styczniu, przychodzi „Dziennik Polski" z Londynu: ś.p. Alfons Ja-

okoliczności, jak to które opisał Marian Hemar w książce „Awantury w rodzinie". Na str. 149 Hemar pisze:

„Czemu tego nie zrobiłem? Nie wiem. Zapewne z przyczyny, którą ktoś nazwał lenistwem serca. Z powodu tej opieszałości, która wszystko, co wymaga jakiegoś sentymentalnego wysiłku odkłada do jutra, do bliskiej, niebezpiecznej 'maniany'. — Jutro napiszę list, na który ktoś czeka z rosnącym żalem. Jutro pójdę z wizytą, jutro umówię się na spotkanie, jutro zdobędę się na przeprosiny, na słowa pociechy, lub skruchy, jutro się pogodzę, jutro naprawię zaległe grzechy i błędy. Byle nie dziś. Dziś jestem zmęczony, zajęty, chcę odpocząć, poczytać dziennik, zagrać w szachy... (U Hemara: 'w brydża', w którego nie gram). Nagle przychodzi dzień, po którym jutra już nie będzie. Karą dla tych, którzy pozostają przy życiu, jest głęboki żal, nie do naprawienia, i wyrzuty sumienia, które pieką gorzkim wstydem"...

Tak jest, jak pisał Hemar. Dedykował mi tę piękną swoją książkę, i już sam nie żyje. Śmierć. Oczywiście wszyscy o niej wiemy na pamięć. Ale nikt nie potrafi jej sobie wyobrazić.

— A tu, spójrz — pokazuję komuś ten pogodny list Jacewicza z końca listopada, i nekrolog z najbliższego stycznia: — Niecałe dwa miesiące i... wieczność! Czy może być w tym zestawieniu większa dysproporcja w czasie, w sensie i celu istnienia

Na to ten ktoś wzruszył ramionami:

— Co za różnica. A sto lat i... wieczność?! Trzeba mieć trochę fantazji, żeby się nad takimi zestawieniami nie mozolić. Skoro wieczność jest niedostępna dla rozumu ludzkiego.

Może. A jednak raptem spadły kamień uciska mnie.

Józef Mackiewicz.